

Tadeusz Konczyński.

Ukojenie.

Nowela.

2

Nad nasze siły było to, co czyniliśmy. Los mój mogłam po tysiąc razy już dawniej ustalić. Mogłam poprzestać na zdobytej wiedzy w seminarium nauczycielskiem i być oddawna drobną, płonącą latarką, niosącą oświatę na dalekiej wsi, a ja, przymierając z Tobą głodem i chłodem, byle on miał co w usta włożyć i sił nabierał do egzaminów — wyciągałam ręce ku coraz wyższym płomieniom nauki — chciałam mu choć w drobnym zakresie dorównać, rozumieć go i pomagać mu.

A więc szły egzaminy za egzaminami — w dzień lekcy, aby życie opłacić — w nocy długie godziny pracy, nieraz do białego świtu. Umierały oczy od utrudzenia, mdlały ręce, trzymające książki, schły wargi i gardło, bolało ciało całe i dusza gięła się w przemęczeniu, a jednak uśmiech na twoich ustach — i tak to razem, ramię przy ramieniu, witałyśmy go dzień po dniu na progu i gościliśmy go przy naszym stole...

Przecież on żył naszym życiem! Przecież człowiek ma tylko jedną duszę, a ta jego do nas należała, przecież, Matko, nie mogą dziać się rzeczy przeciw naturze przez ludzi żywych, tych, których znamy, jak siebie...

A jednak tak się stało! Raz odszedł objęty naszym uśmiechem i Twoim uściskiem, żegnany jak zawsze i nie wrócił więcej.

Nie wiedziałyśmy, co to ma znaczyć.

Od łez umierałyśmy i rozpaczy. Wszystkie jego nieszczęścia brałyśmy w modlitwach na siebie, byle ocalał, byle był zdrow i szczęśliwy.

Tak nawet Judasz nie zdradził Chrystusa, jak on nas.

A potem, w tydzień później ten list jego krótki: „nie mogę uleść słabości — moja przyszłość wymaga ofiar“...

Od niego! od niego ofiar wymagała przyszłość!...

Każde słowo w tym liście miało krzyk okropny zbrodni, fałszu, oszustwa, nędzy!

On nas mordował bez jednego słowa współczucia — na zimno, z wyrachowaniem, znienacka.

I wówczas zatrząsły się we mnie wszystkie te najtajniejsze moce, na których opierała się i z których wyrastała moja dusza — wiara w sprawiedliwość czynną, nieustanną Boga i świata.

Gdyby był nas zabił, okradł, zniszczył duchowo i materialnie, gdyby był nas wymazał po prostu z pośród żywych, można by go zrozumieć, pogardzać nim, ale go zrozumieć.

Ale on dwa istnienia ludzkie związane z nim tysiącami najczulszych strun, najsubtelniejszych wzruszeń, ciebie, swoją przybraną matkę, u której nóg leżał setki razy we łzach, dziękując za dobroć i serce — i mnie, przez lat dziewięć siostrę mu i czystą kochankę, mnie, która sercem związałam się z nim na dolę i niedolę i żyłam tak uduchowionem życiem, iż zapominałam o mem istnieniu fizycznym — mnie, w której widział bluznierzo Boga swego i anioła, z której czerpał cały lot swego mózgu, swojej pracy, swoich dążeń, ambicji, tęsknot — on nas dwie pociął pospolicie nożem zimnej wzdary i pozostawił żywe, żywe, z ranami!...

Matko! to większa była zbrodnia niż kiedykolwiek jakkolwiek popełniono!

Ciebie i mnie pociął nożem wzdary!

Ach Ciebie Matko! Ciebie! gdybyż tylko mnie!

Kiedym wówczas chciała sobie życie odebrać, droga Mateńko, to nie rozpacz zakochanej dziewczyny we mnie szalała, ale, i ja to dopiero dziś wiem, załamała się we mnie wówczas wiara w istnienie jakiegokolwiek sprawiedliwości, jakiegokolwiek wstydu człowieczeństwa na świecie!

Po co miałam żyć? Ja żywa, zostawałam nie-

stannem dla Ciebie wspomnieniem dokonanego gwałtu przeciw naturze ludzkiej. Umarła zabrałabym do grobu z sobą tę pamięć. Żal za mną zabiłby w Tobie żal, że Bóg stworzył życie tak podłe. A ta druga świadomość jest po tysiącokroć razy okrutniejsza, niż świadomość śmierci córki dla Matki.

Chciałam dlatego umrzeć, tylko dlatego! wszak nie kochałam go jak żona kochać może! wszak w moich uczuciach zmysły nie istniały! spały wszystkie snem niepokalanym dzieciństwa!

Śmierć moja byłaby przyszła tylko dlatego, że zachwiała się podstawa porządku wszechrzeczy w jednym, drobnutkiem istnieniu — w mojej duszy.

O, i ja wiem matko, ja to dziś dopiero rozumiem, że ten tylko odchodzi dobrowolnie z życia, przecinając je kulą lub trucizną, w kim rozprzegnął się porządek wszechświata, w kim umarła wiara w sprawiedliwość wszechwieczną.

To zrozumiałam dopiero tutaj w Rupienkach.

Długie godziny przestawania z polami śniegów i z zamazaną błyszczącą, przeogromną taflą jeziora, które jednym ramieniem swoim wdziera się w park



...Długie godziny przestawania z polami śniegów...

dworski, a drugie podaje wzgórzom dalekim, nauczyły mnie tej prostej prawdy, odkryły mi ją jak źródło zbawcze.

Piszę o tej smutnej przeszłości, droga Mateńko, bo jeszcze nie wyjaśniliśmy sobie tego, przez co się działa ta cała nasza tragedia, dlaczego ja, niepomna na nic, ani na Twoje łzy, chciałam odebrać sobie życie.

Dziś możesz spać spokojnie, ukochana moja.

Nie tęsknota zabójcza za nim, nie rozpacz zmysłów, których nie potrzebowałam ukrywać przed sobą, bo wcale nie przemówiły we mnie, nie ambicya i żal zabić mnie chciały, zabijało mnie to jedno, zabijał mnie wstyd, że jestem człowiekiem, zabijał mnie bunt, że muszę chodzić po tej samej ziemi, po której kroki jego nie wypalają czarnych śladów jak gorejące głownie.

Stało się — stało.

Ślub związał go z jego „przyszłością“. Już dla tej „przyszłości“ nie będzie ponosił ofiar.

Odkryłam moją istotę wewnętrzną. Jestem jak ptak o wrażliwych skrzydłach, który ma jeden lot przez ogromy życia — lot prosty — prosty jak promień słońca.

Dokąd doleć? Czy ja wiem?

Wiem tylko to jedno, iż natura moja nie będzie umiała nigdy zboczyć — może cierpieć, ale nie zboczy — może zginąć nawet, ale nie zboczy.

Wszak taką zawsze chciałaś mieć, najdroższa?... — — — — —

30 stycznia.

Odrzebałam popioły.

Dobrze napisałaś matko — popioły!

Nie pisałaś mi o jego ślubie, bo uważasz, że ów człowiek nie istnieje. Ach! może tak nawet najlepiej jest myśleć.

Pod popiołami ani Ty, Mateńko, ani ja nie znajdziemy żadnej iskry.

Ale wierz w to jedno, najdroższa, że nie uratowała mnie wówczas moja dobra natura, nie instykt życia, jak piszesz, wytrącił mi broń samobójczą z ręki. Dla mnie wówczas śmierć wydawała się największym dobrodziejstwem.

Tylko Ty jedna zdołałaś to uczynić! Ty jedna!

Powiedziałaś wtenczas do mnie: „jeżeli odbierzesz sobie życie i ja uczynię to samo, choć cała moja natura wzdryga się wobec tego gwałtu! umrzyjmy razem! bez Ciebie niema dla mnie życia na świecie“.

Matko! te Twoje słowa wypaliły się w mojej pamięci ogniem strasliwym. Nie zapomnę ich nigdy! One jedne dotarły do tej przeokropnej, wąskiej, ciemnej czeluści rozpacz, na której dno opadła ostatnia garstka moich myśli i mojego istnienia — dotarły i uderzyły mnie żelaznym, rozpalonym prętem po głowie i wpiły się w moje rozbolełe serce.

Drgnęłam, otwierałam oczy, otwierałam słuch, wyciągnęłam ręce — zrozumiałam!...

Twoje życie za moje życie!...

Śmierć twoja za moją śmierć!...

Twoja śmierć samobójcza po tysiącokroć razy wzgardzona przez Ciebie za moją śmierć samobójczą, zbawczą, wytesknioną, chciwie pożądaną!

Ach! czyż mógłby być dokonany strasliwszy czyn od takiego?

Tyś Matko nie pojmowała siły swoich słów, że łzami Twoich ocz łaty się słowa ust Twoich przeraźliwie, jasne jak błyskawice w północ letnią, wychylała się z wnętrza swej istoty dusza Twoja, serce Twoje zakochane we mnie.

Wstrząsnęłaś mną do głębi.

Wówczas wszystko we mnie stępiało. Stężały rany, zamknęły się gorejące oczy, zamknęły się usta, chwytające rozpalone powietrze. Padła w proch cała moja istota, wyciągnęłam ręce ku widnokręgom dalekim, skąd Ty szłaś ku mnie, a z Tobą razem białawe światło nowego świtu życia.

Rozpłynęłam się we łzach w tym prochu, w tem poniżeniu.

Ocaliłaś mnie! dałaś mi życie po raz drugi.

Ty jedna sprawiłaś ten cud! Ty jedna!...

Ach, jakże pragnęłabym widzieć Cię dzisiaj w Rupienkach i wziąć Cię na daleką drogę po oceanie śniegów i napić oczy Twoje cudami zimy polskiej i dać Ci jedną sekundę szczęścia — Tobie, która cała jesteś pełna mnie i tylko dla mnie żyjesz!

1 lutego.

Niepotrzebne były dwa listy ostatnie. Głębokiej studni, której wody w jad się przemieniły, raz zasypanej, żaden przechodzień nie powinien odrzebywać.

Uczyniłam to lekkomyślnie.

Ale pojmujesz mnie, Matko. Budząc wspomnienia, nie szukałam w tej studni ani tych wód, które dawniej z niej biły, ani tych jądów, które później wytrysnęły — chciałam Ci tylko powiedzieć, jak się to stało, iż ocalałam i dlaczego nie runęło na mą głowę walące się ocembrowanie.

Od owej chwili, kiedy płacz twój ostry i przysięga, iż sobie życie odbierzesz po mojej śmierci, wstrząsnęły mną do głębi, nie padło między nami żadne słowo więcej w tej sprawie.

Były łzy, nie było słów.

A przecież trzeba je było raz powiedzieć. Trzeba było raz utrwalić Twój spokój, Matko i wpoić w Cie-